



## TYGODNIK ILLUSTROWANY DLA DZIECI.

### PRENUMERATA WYNOŚI:

W WARSZAWIE rs. 4, na prowincyi w kraju i za granicą rs. 5 — stosownie do téj ceny półroczna i kwartalna.

Biuro Redakcyi ulica Mazowiecka Nr. 8 (10 nowy).

### PTAK GARNCARZ.



Ptaka garncarz.

Jednym z najosobliwszych ptaków amerykańskich jest garncarz, *Furnarius rufus*, na naszój rycinie przedstawiony. Postać jego dość niepozorna, ani okazałością, ani świetnością, upierzenia się nie odznacza, zaledwie siedmiu cali długości dochodzi, na grzbiecie ma piórka czerwone, wpadające w odcień rdzawy, na główce brunatne, a na brzuszku prawie białe. Ale mała ta ptaszyna jest budowniczym nie lada i nie darmo też miano garncarza nosi, gdyż gniazdko swoje wyrabia z gliny i wydrąża je z wielkim dowcipem, nakształt pękatego garnuszka.

W górzystych okolicach Brazylii podróżnik nieraz widzi na gałęziach drzew lub na grubych łodygach kaktusów dziwne kule, które wyglądają jak tykwy i zwykle mocno są osadzone na grubych konarach. Są to gniazda garncarzy. Ptak lepi je z gliny z trudem i staraniem niemałym, a gdy obeschnie, wyściela we środku miękkim mchem i ździebełkami trawy. Kuliste gniazdko ma otwór niewielki, którym samica wchodzi i wychodzi.

Ptaka garncarz z obyczajów zbliża się do drozda, jest wesół, żwawy, szczebiotliwy, krzykliwy nawet. Ludność miejscowa niezmiernie go lubi, nikt nigdy nie zabija garncarza, za występki by to uważano. To też ptaki te tak są śmiałe, że wcale od ludzi nie uciekają, sadowią się w pobliżu mieszkań a czasem i na dachach swoje gniazdką lepią.

## DORCIA,

powieść przez Maryą Świdorską.

(Dalszy ciąg).

Długo jeszcze patrzyła Dorcia łzawém okiem za powozem, znikającym powoli, a serce ję się ścisnęło, jak gdyby na nowo czuła swoje sieroctwo.

— Dobre z ciebie dziewczę — rzekł pan, głaszcząc ją po głowie — pocziwie doglądasz siostry mojej i bądź pewną, że ci tego nie zapomnę.

— Ach, panie — odrzekła wzruszona dziewczynka — któżby się nie przywiązał do takiej pani; ona dla mnie jak matka i życiebym za nią oddała.

— Wiem, żeś wierna i życzliwa; to też proszę cię, Dorotko, uważaj tu na panienkę; wiem, że na ciebie spuścić się mogą bardziej nawet, niż na kogo ze starszych, a gdybyś co zauważyła niedobrego, pamiętaj, że masz przyjść wprost do mnie i powiedzieć.

Ucałowała rękę pana Dorcia i postanowiła sobie o ile potrafi stosować się do zalecenia pańskiego, chociaż wiedziała, że to nie będzie rzeczą łatwą przy usposobieniu lekkomyślném i samowolném Melci. Zaraz nazajutrz rozpoczęła się scena z panną Pichon, którą, korzystając z nieobecności ojca, dzieci zmusić chciały, by z nimi jechała do lasu jakimś dzikimi, nieujędzionymi kołmi. Daremnie lamentowała Francuzka, łamiąc ręce po swojemu; Mundzio groził, że sami we dwoje z Melcią pojedą i już bryczka stała przed gankiem, gdy nadbiegła Dorcia.

— Przepraszam panienkę — ozwała się, całując w rękę Melcię — ale ja wiem, że panienka tego nie zrobi i nie pojedzie.

— A to zkąd wiesz? właśnie, że pojedę!

— Wiem przecież, że panienka już nie takie dziecko, co by chciało swawolić i dokazywać na prókór starszym; wiem, że panienka nawet paniczowi nie pozwoli jechać temi niesfor-nemi kołmi, co wszystkich pozabijać mogą i pan podziękuje panience, że na takie figle nie pozwoliła.

— Co ty się będziesz wtrącała! — krzyknął rozszalony Mundek — idź ztąd i nie pokazuj mi się na oczy, bo jak cię uczęstuję!... — i podniósł do góry szpicrózge, którą w rękę trzymał.

Ale już spokojne a poważne słowa Dorotki wywarły wpływ pewien na Melcię, która się spostrzegła, że niedorzeczność miała popełnić, wstrzymała więc rękę brata i rzekła:

— Daj pokój, Mundziu; właśnie przypominam sobie, że pani Rajaska dziś miała nas odwiedzić; lepiej zostanemy w domu tym razem.

Wizyta owęj pani Rajskiej bardzo była wątpliwą co prawda, ale dostarczyła Melci pozorów do wycofania się z „honor-em”, mimo nárzeków brata, który popędził do ogrodu, wygrażając pięścią z daleka Dosi, spokojnie noszącej te objawy niezadowolonia teraz, gdy widziała, że się zapobiegło złemu. Sceny jednak podobne często się w domu powtarzały, zwłaszcza w nieobecności pana, ale szczęściem przybył wkrótce nauczyciel do Mundzia i panicza trochę wziął w kluby.

Melcia znów utrzymywała, że potrzebuje wypoczynku i zaniebdywała się straszliwie w naukach; zamiast lekcyi, fryzowała loczki nad czołem panny Pichon, która niestety! miała do tego słabostkę, albo sama przepędzała godziny przed zwierciadłem, przebierając się i wymyślając najdziwniejsze koafiury.

— Prawda, że mi w tém do twarzy? — zapytywała czasem Dorci, którą wołała do swego pokoju ustawicznie.

— Prawda! ale panience i bez tego ładnie, a mnie się zdaje, że najładniej, gdy włosy gładko uczesane, bez tych wszystkich wykrętów i fryzur.

— Co ty się znasz na tém; jesteś chłopką, to i nie wiesz, co ładne! — ofuknęła obrażona Melcia.

— Wiem jednak, że panienka ładna, ale wtedy najładniejsza, gdy się nie gniewa i zamiast przed lustrem, siedzi

na kanapce z książeczką, albo z robótką w rękę; wtedy to bardzo lubię na panienkę patrzeć.

— Proszę! to ona mi będzie nauki dawała! — odrzekła udobruchana już trochę strojnisia, zawstydzwszy się cokolwiek w duchu.

Skrucha jednak u nięj niedługo trwała: lekka, próżna, nie tyle może była złą, co popsutą i pozbawioną dobrego kierunku. Nie lubiąc się zająć nauką, niczym prawdziwie piękném i szlachetném, spragniona była rozrywki, rozmiłowana w strojach i o tém tylko marzyła, jak kiedyś na balach występować będzie w wytwornych toaletach, brylantach, piórach i t. p. Innych marzeń nie znała ta próżna, rozbałamucona główka: wychowana na wsi, wśród natury świeżej i wonnej, nie umiała czuć tych piękności, co ją otaczały; nic ję nie szepotał szum drzew odwiecznych, co się kołysały przed oknami dworu; w przezroczytych głębinach jeziora szukała tylko odbicia swęj ładnej ale bezmyślnęj jak lalka twarzyczki; kwiaty o tyle tylko ceniła, o ile się dały upiąć we włosach, albo na ramieniu, ku ozdobie sukienki; a na te żywe kwiatki, słońcem opalone, na te dziecięce główki, co się skupiały w koło dworu, przypatrując się z daleka „Jaśnie panience”, nie spozjrzała nawet, nie pomyślała sobie, że się i im coś od nięj należy, od nięj, co na tęj ziemi wzrosła otoczona dostatkami i zbytkiem. Może i nie było komu rozdmuchać w ciasném tém serduszku iskierki, która przecież u każdego choć w głębi ukryta tlić się musi — dość, że Melcia wyrastała bez pożytku dla siebie i innych, nie uszczęśliwiając nikogo i sama też prawdziwego szczęścia nie zaznawszy, bo gdzież tu nazwać szczęściem takie bezmyślne, płytkie prześlizgiwanie się po świecie.

W parę tygodni po wyjeździe pań za granicę, pan Malicki zmuszonym był także na czas dłuższy wydalic się z domu, zaleciwszy dzieciom, żeby się spokojnie zachowywały i nie doku-czały nauczycielom. Nazajutrz zaś po odjeździe jego Melcia zaczęła się napierać, żeby do sąsiedniego miasteczka wybrać się po sprawunki. Panna Pichon po długim wahaniu dała się wreszcie nakłonić do tęj wycieczki i nad wieczorem dopię-ro obie wróciły do domu z Salką, która się także wprosiła. Mundzio tymczasem próbował zrobić scenę z nowym swym nauczycielem, ale mu się to nie udało, gdyż pan Karski, energiczny młody student Kijowskiego uniwersytetu, nie dał się zastraszyć i niesfor-nego młodzieńca na klucz w pokoju zamknąwszy, gdy ten oknem próbował wyskoczyć, skazał na pozostanie bez kolacyi.

Podano więźniowi filiżankę bulionu z kawałkiem chleba zamiast kotletów *à la financière*, na które zębki ostrzył; z początku więc miał ochotę bulion wraz z filiżanką za okno wyrzucić, ale w porę się spostrzegł, że bardziej tém sobie niż komu innemu zaszkodzi i z wielkim gniewem bulionik co do kropli wysączył. Mała ta próbka dała mu poznać, że pan Karski żartować z sobą nie pozwoli, postanowił więc do przy-jazdu mamusi znosić cierpliwie to „prześadowanie”.

Dorcia tymczasem nowy miała kłopot: oto wieczorem przysła do nięj na górę Salka, teraz już duża i zręczna dziewczyna i pokręciwszy się tu i owdzie, wyraziła zdziwienie, że ją nad książkami zastaje.

— Już ja to nie lubię się nad niczem mozolić — rzekła — ot i teraz przychodzę ci powiedzieć, ale tobie jednę, Dosiu, bo cię lubię i wiem, że nie pójdziesz z donosem na mnie. Już mi zbrzydła ta niewola; dziś w nocy zabieram swoje manatki i idę w świat; w miasteczku jest jedna pani wojskowa, co właśnie odjeżdża do Kijowa; z nią się zabiorę, niech mnie szukają, jeżeli potrafią.

— Na miłość Boską, Salusiu, co ty mówisz! Ty miała-byś w nocy, pokryjomu uciekać z domu i to teraz, gdy nie ma ani pani ani pana? Zastanów się, coby twój ojciec powiedział, co się z tobą samą stać może, gdy tak z obcymi ludźmi wyjedziesz w świat nieznanym?

— To go poznam, a tu czego się nauczę? łają mnie, szturchają, a jeśli w niedzielę chcę sobie przypiąć jaką wstążeczkę, to się naśmiewają, że m głupia i próżniak. A panna Melcia musi być mądra bo się uczy z książek, a pół dnia

przed lustrem siedzi! Zresztą już ci mówię, że mi zbrzydło to siedzenie w kącie z igłą i napastrkiem; wolę pokręcić się po świecie.

— Mnie się zdaje, Salusiu, żeś już najgorsze przeżyła, że teraz corazby ci lepiej było i tutaj nawet; ale jeżeli chcesz koniecznie się oddalić, to zróbże to uczeiwie, jak należy. Poczekaj aż pani powróci, podziękuj za służbę, poradź się ojca, a on cię gdzieindziej umieści.

— Pewno! żeby mnie znów gwałtem zatrzymali, jak temu dwa lata, gdy jeszcze różgi dostała zato, że chcę uciekać! Nie przeszkadzaj mi tylko; nie poto przyszedł do ciebie.

— Ale ja muszę temu przeszkodzić, Salusiu: pomyśl, gdyby twoja matka żyła, onaby się zamartwiła widząc, jak córka po nocy ucieka z nieznanymi ludźmi; może i teraz matka na ciebie patrzy z tamtego świata. Nie, Salko, ja ciebie nie puszcze, jak gdybym była twoją siostrą — i objęła ją za szyję przyciskając do siebie.

Rozczuliła się krnąbrna dziewczyna, która rzeczywiście do jednej tylko Dosi przywiązana była i zaczęła się tłumaczyć, że choćby nie chciała, musi iść, bo przyobiecała i czeka ją na nią. Ale Dorcia na wszystko miała odpowiedź.

— Nie musi to być dobra pani, skoro cię bierze, wiedząc, że uciekasz pokryjomu z inną służby; wierz mi, onaby cię potem skrzywdziła, a ty nie miałabyś nawet komu się poskarżyć w obecnej stronie.

I tak naprzemian perswadując i pieszcząc Salkę, wymogła od niej poczciwa Dorotka obietnicę, że zostanie, dopóki pani nie powróci.

(d. c. n.)

## LETNICZKI, POWIETRZNICZKI.

— Matusiu, co to będzie? czy Wielkanoc, czy wesele, czy co? że tak dom bielicie zewnątrz i wewnątrz, i podłogi, i okna, i drzwi szorujecie i myjecie?

— Nie, moja Magdusiu, teraz nie będzie ani Wielkanoc, ani wesele, tylko teraz jest lato, więc przyjadą tu do nas na wieś państwo z miasta, letniki i letniczki, będą mieszkać w tych pięknie wybielonych izbach i będą nam za mieszkanie płacić, a my za te pieniądze kupimy jeszcze jedną krówkę z cielątkiem i będziemy mieli więcej mleka niż teraz. Magdusia będzie codzień jadać śmietanę, a cielątko sama wychowa sobie na własną krówkę, na własne gospodarstwo.

Magdusia podskoczyła w górę z radości, podziękowała matce za obietnicę początku gospodarstwa, ale spytała:

— A cóż to za państwo są ci letniki i letniczki?

— To są tacy państwo, którzy całe życie muszą w murach, w mieście siedzieć i dusić się w dusznym powietrzu, więc jak przyjdzie lato, wynajmują za drogie pieniądze letnie mieszkania na wsi i przepędzają w nich z wielką uciechą kilka tygodni letnich, i dla tego my więcej ludzie zwiemy ich letnikami, albo i *powietrznikami* zowie się ich u nas, dla tego, że dla świeżego *powietrza* do nas przyjeżdżają.

Tak opowiadała matka Magdusi, a Magdusia bardzo się ucieszyła, że przyjadą letniki i powietrzniki, za których pieniądze będzie krówka na początek gospodarstwa.

Jakoż przyjechali letniki, a między innymi cztery ładne panienki z pensyi: Zosia, Józia, Natalka i Antolka. Były to już uczennice czwartej klasy, zatem spore i dosyć na wiek swój wykształcone dziewczątka, ale niestety, co często się zdarza, troszeczkę zarozumiała. Ponieważ zaś poraz pierwszy były na wsi, więc o wielu wiejskich właściwościach miały tylko z książek wyobrazenie, i to niedokładne, bo nie wszystko przecież, czego się uczymy, pozostaje już na zawsze w pamięci. Ztąd spotykały ich czasem różne niespodzianki i przypadki takie, że nawet mała Magdusia ośmioletnia, umiała sobie z niemi radzić, a wykształcone panny nie umiały.

Magdusią niezmiernie te ładne panny zajęły, biegała ona więc z niemi i usługiwała im chętnie, byle tylko pozostawać

w ich towarzystwie. Raz, panny postanowiły wyprawić sobie wielki podwieczorek w lesie, i przygotowywały się do niego z wielką uciechą. Upiekły gęś, upiekły chleb, ugotowały jajka, zrobiły piwo po domowemu; rozumie się, że wszystko to zrobiła własnymi rękami Janowa, Magdusina matka, ale panny tyle się nafrasaowały, nakłopotowały, patrząc na robotę, tyle natupotały nóżkami, biegając koło niej, że zmęczyły się naprawdę, i zdawało im się, że to one same robiły.

Magdusia jednak nie pomagała przy tej ciężkiej pracy „magdusina letniczek”, jak je zawsze głośno nazywała, a nie pomagała dla tego, że miała inne, jeszcze ważniejsze zajęcie. Właśnie przed trzema dniami, letnicy zapłacili za mieszkanie Janowej, i ta, zaraz poszedłszy do drugiej wsi, kupiła od kumy Bartkowej sliczną, dawno upatrzoną krówkę łaciastą, z jeszcze śliczniejszym cielątkiem, przyprowadziła ten dobytek do domu, i podarowała uroczyście cielątko, na początek własnego gospodarstwa, swojej ukochanej Magdusi. Dziewczynina ośmioletnia ucieszyła się tak, jak panienka miejska z najpiękniejszej lalki, a nawet z większą słusnością, bo mogła na większy pożytek gospodarski ze swego podarku rachować. Nazwała więc cielątko Sroczką i przez dwa pierwsze dni weale z nim się nie chciała rozstawać, nawet na noc i spała przy niem w oborze, na co matka Janowa pozwoliła, bo najprzód, za dużo miała sama roboty, aby się ciągle Magdusią zajmować, a potem wiedziała, że jej mała córka umie doskonale dawać sobie radę z dobytkiem, i nie narazi się ani na zdeptanie, ani na kopnięcie, ani na uderzenie ogonem, ani na żaden inny przypadek, jaki z pewnością spotkałby miejską panienkę, gdyby sama została w oborze. Tak było przez dwa dni, i dla tego Magdusia nie pomagała pannom letniczkom w przygotowaniach do wielkiego podwieczorku. Ale gdy już panny upakowały zapasy i nakrycie w koszyk, wtedy Janowa, której rękami i to one robiły, rzecze:

— Teraz trzeba zawołać Magdusi, żeby koszyk do lasu zaniósła i pomogła tam panienkom.

— Co znowu! albo Magdusia udźwignęłaby taki pakunek! na to trzeba będzie dorożki zawołać! — krzyknęły wszystkie panienki jednogłośnie, zapomniawszy na razie, że dorożki zostały w Warszawie.

— Kokoszki? — powie Janowa przesłyszawszy się, bo miała właśnie sąsiada, nazwiskiem Kokoszkę, który swobodnie siedząc u dzieci w chacie, wynajmował się chętnie letnikom do różnych posyłek — ej, co tam po Kokoszce, i moja Magdusia zanieś, to dla niej mucha taki ciężar, ona po dwie gęsi żywe na raz nosi, dla czegożby jednej pieczonej udźwignąć nie miała; to mała rzecz, a dobrze, że dziewczynę się od tego cielęca oderwie, bo je nareszcie uściskami zadusić może, i dopiero by płakała.

Zawołana Magdusia wzięła koszyk jak nic na rękę i poszła z panienkami. Przeszedłszy do lasu, letniczki najpierw szukały koniecznie poziomek i jagód, chociaż Magdusia zapewniała, że już ich być nie może; potem na leszczynie szukały buczyny, a polną różę wzięły za jaskier, pomimo, że się botaniki uczyły, lecz różę tylko stulistne i hodowane ogrodowe znały. Nareszcie nabiegawszy się, uznały, że czas już wziąć się do podwieczorku. Nakryto tedy pięknie na trawie i zabrano się smaczno do jedzenia, a Magdusia także z podwieczorkiem w ręce pobiegła skakać sobie po lesie, bo wprzódy siedziała spokojnie, pilnując koszyka, aby jej przyjaciel Kruczek nie przypytał się do niego zwęszywszy. Panny rozmawiały jedząc:

— Bardzo to jest przyjemnie biegać po lesie — rzecze jedna — cóż to dopiero musi być za rozkosz w tych lasach amerykańskich, nietkniętych jeszcze siekierą, o których takie dziwy opisują podróżnicy.

— Co do mnie — rzecze druga — podejrzewam ja zawsze te ich przesadzone opowiadania, zwłaszcza gdy o niebezpieczeństwach zaczęną rozprawić, przechwalając się ze swęj odwagi.

— Ach, o tych węzach straszliwych dusicielach zwłaszcza, z których jeden leży oto jak klocek w skrytce w zoologicznym ogrodzie; gdybym spotkała takiego węża w amerykańskim

## Słowiki nadniemeńskie.

lesie, ciąłabym go siekierą gdzie bądź i rozleciałby się od razu na kawały i już po wężu, bo choćby się jeszcze ruszał, jużby nie dusił.

— Albo te lwy, co też to podróżnicy o lwach nie prawią za straszne bajki, a ja na własne oczy widziałam, jak dwa lwy przytulały się do ślicznej psinki i najspokojniej z nią się bawiły, w Warszawie w zoologicznym ogrodzie.

— No, mniejsza już o lwy i o węże, ale przypomnijcie sobie, co ci podróżnicy nie wygadują o słońcach, jak to oni uciekają przed niemi, jakby przed huraganem albo przed ogniem, a przecież słoń to najłagodniejsze pod słońcem stworzenie, dość spojrzeć na słońca w zoologicznym ogrodzie, aby się o tém przekonać. A przytém są to stworzenia tak mądre, że niema z niemi kłopotu, bo zawsze porozumieć się można.

— A wreszcie, choćby nakoniec rozgniewał się słoń mądry i wspaniały, to i tak łatwo jest sobie z nim poradzić...

— Tak! podróżnicy Anglicy piszą, że potrzeba mu tylko okazać pokorę, ukłęknać, ręce złożyć i niby go prosić, a on na ten widok natychmiast szlachetnością się uniesie i grozić przestanie; ale jabym tam nigdy w życiu nie poniżyła się w ten sposób przed nikim, nie dopieroż przed zwierzęciem i to tak niewinnem, jak słoń! Bo nareszcie, o cóż tu chodzi? przecież każdy podróżujący ma zazwyczaj rewolwer o sześciu strzałach w kieszeni, a więc, dosyć jest zmierzyć, czy za lewe ucho, czy w lewą skroń... nie pamiętam dobrze, dość, że słoń padnie na miejscu za lekkim dotknięciem cynгла, i... niema o czém mówić więcej!

— Jabym natychmiast paliła z rewolweru za lewe ucho!

— A ja w skroń!... bęc!... i basta.

Tak rozmawiały panienki letniczki przy podwieczorku, dobitnymi gestami dopełniając myśli swoich; Józia nożem dużym ciąła z góry w gęś, wyobrażając sobie, że w węża dusiciela siekierą uderza. Zosia celowała do słońca, przykładając widelec do lewego oka; Antolka głaskała serwetkę przy talerzu, wyobrażając sobie, że pieści ślicznego lewka, a wtém, złowrogi szelest dał się słyszeć w otaczających krzakach, i z gęstwiny na wprost panienek wysunął się straszliwy potwór... Miał on łeb, dwoje oczu, cztery nogi i ogon, szedł z głową opuszczoną i z okropną paszczą wyciągniętą, jakby chciał połknąć panienki. Okropny krzyk dał się słyszeć:

— Wąż!

— Słoń!

— Lew! uciekajmy.

— Nie wąż, bo ma nogi!

Takie krzyki wybuchnęły jednocześnie, i w tejże chwili cztery panienki skoczyły na stary mur w gruzach, rozgraniczający las w tém miejscu. Drapały się na mur, jak wieiórki, krzyczały jak sójki, a potwór, nie znalazłszy panien, już dobierał się do gęsi, gdy wtém na rozpaczliwe krzyki panien, Magdusia pędem przybiegła z głębi lasu, i ujrawszy potwora rozśmiała się serdecznie, klaszcząc w ręce i wołając:

— O moja Sroczko prześliczna! krówko moja własna, toś ty aż tu za mną trafiła? A pójdzże niech cię za to uściskam i najlepszego dam mleczka, pójdzż złoto moje!...

I tak mówiąc, wzięła Magdusia straszego potwora obu rękami za szyję i ściskając go, poprowadziła napowrót do niedalekiej obórki, z której to przywiązane ciele za małą panią swoją wybiegło.

Panny letniczki jak niepyszne pozłaziły z muru na ten widok, i dokończyły podwieczorku z mniejszym daleko zapalem niż go zaczęły, dowodząc sobie nawzajem, że wyobrażenia zbytkiem pracy przeciążona przez cały rok, może w końcu być dziwnych złudzeń czyli tak zwanych halucynacyi ofiarą, skutkiem których, można wziąć ciele za lwa, słońca, a nawet za węża niestety!...

Niemen jest w całym swym biegu jedną z rzek najbar dziej uroczych na świecie, gdyż nie przedstawiając oczom podróżnika takich dziwów, jak n. p. wodospady Niagary, przecież zachwyca go rozkosznie urozmaiconemi wybrzeżami. Zwłaszcza od Grodna w dół, rzeka ma cudownie piękne ramy, tak, że niepodobna jest tu prawie przełożyć jedną miejscowość nad drugą, a gruzi starych zamczysk, porosłe bujną bo na krwi obrońców tej ziemi wzrosłą zielenią, dodają jej smutnego uroku.

Jedną z ślicznych tych miejscowości umiła małeńka rzeczka Wielonka, wpadająca tam właśnie do Niemna. Pośród wspaniałych drzew wznoszą się trzy góry: Zamkowa, Ogródowa i Gedyminowa, po nad falami Niemna i strumykami Wielonki, urwiska i skały, bujna zielenią odziane, rozsypują się na okół ze śladami niewyraźnemi starożytnych mostów łączących z sobą i wierzchołki dwóch gór i oba brzegi niemnowe. Na górze Zamkowej jest dziś małeńkie miasteczko Wielona; na Ogródowej gruzi i ogród, na Gedyminowej wyniosły kopiec, a obok niego dół dokładnie takież samej objętości i takiegoż kształtu; na szczycie kopca stoi krzyż.

Około roku 1339 krzyża tego nie było tu jeszcze. Noc ciemną, podchmurami zasutem niebem, okolica ta dzika a piękna zdawała się nie spać, lecz dumać poważnie i smutno. Drzewa wyniosłe chwiałały z lekka głowami, jakby dźwigały się czemuś ponuro, rzeki Niemen i Wielonka szemrały, jakby skarżąc się i dziwiąc po cichu i było się czemu dziwnie w istocie: oto na Zamkowej i na Ogródowej górze, na wałach drewnianej lecz silnej twierdzy, która po to tu była wystawiona, aby osłaniała starożytną świątynię litewskiej Wellony przed zaborczemi Krzyżakami, po tych wałach chodzili strażnicy... Krzyżacy! Zamek ten był już oddawna celem gwałto-upragnionym ich zabiegów, ale długo napróżno. Już w 1328 za ledwo podołano odeprzeć ich od oblężenia, a w 1331 Henryk, książę bawarski, dopiął nareszcie owego celu i znów wyczerpywał Wielonę, natychmiast ją odbudował, jakby po to tylko, ażeby ślad pogaństwa zatrzeć, poczem sprzedał Wielonę czychającym na nią Krzyżakom.

Tak nareszcie dostali się oni na to obronne z samą naturą stanowisko na prawym brzegu niemnowym, o które dobijał się z dawna. Krzyżacy więc teraz strażowali na wałach twierdzy świeżo nabytej, świątynka Wellony, zburzona przez Henryka, leżała w gruzach pod bokiem twierdzy, a okoliła zdawała się dziwić nieproszonym gościom, jakich nie oglądała tu jeszcze. Druga góra, dziś Ogródową zwana, była wtedy połączona z Zamkową silnym i potężnym mostem i zamkiem właściwie rozsiadał się na obu tych górach; trzecia nie miała podówczas, nie tylko krzyża, ale ani kopca nawet i nie miała dzisiaj swego miana, a ten, od którego następnie je wzięła wedle podania, stał niedaleko od niej i bystrym okiem, mimo ciemności, ogarniał w najdrobniejszych szczegółach całe ponury ten widok.

Gedymin, wielki książę litewski, stał w owej chwili ukryty w pobliżu w niedużym lecz gęstym lesie, do którego dostał się wraz z nielicznym orszakiem wiernych, prześlizgując się pomiędzy znajomymi urwiskami, tak, aby strażujący Krzyżacy nie mogli ujrzeć nic z góry. U boków jego stali dwaj najuważniejsi, bo najwaleczniejsi z siedmiu synów: Kiejstut i Olgierd. Drużyna, dla tego właśnie niezbyt liczna, że wyborowa, stała z nimi milcząc, patrząc na wodza i czekając skinienia tu nieruchomo, jakby przyrosła do tych pni drzewnych, do których przycisnęła się dla niepoznaki. Gedymin okiem ostrym widza śledził ruchy straży krzyżackich na zamku, a uchem łowił niespokojnie najłżejsze szmery nocne. Wszystko, nawet zawsze baczni Krzyżacy, zdawali się pogrążyć w półsennie i dumie, długą ciszą uspokojeni. Strażnik chodził na głowę baszcie, na Zamkowej górze, przechadzał się tam i sam z



To lew! uciekajmy!

wając, a raz stanął i nadstawił ucha: tuż z pod stóp jego, z głębiny parowu, z kąd wychodziły pale, wspierające most który łączył zamek na dwóch górach osiedlony, ozwały się jakieś dźwięki... Krzyżak zadrżał na tę niespodziankę, ale równocześnie prawie wzruszył ramionami na samego siebie, mrużąc:

— *Donner-wetter!* \*) było się też czego zatrzwożyć... słowika!... — istotnie słowik to rozpoczynał trele swoje, lecz po kilku próbach urwał śpiew.

Chwilę trwało milczenie i znowu odezwał się słowik, lecz teraz od strony Niemna, z gęstych zarośli, okrywających tam góry i wnet umilkł. Po niejakiem czasie ozwał się jeszcze od północy, a potem znów doleciały próby jego pieśni od lasu, zwanego przez Krzyżaków Wentus, może dla tego, że Litwini nazywali go Szwyntas, to jest: święty.

— Hm, ten słowik próbuje śpiewać to tu, to tam—pomyślał strażnik — i jakoś nie może dobrać miejsca na śpiewanie spokojne... to coś tak, jak my na tej pogańskiej ziemi; próbujemy po dziesięć razy wdrzeć się w pogańskie gniazda,

a nareszcie wlaższy, nie mamy dnia ani nocy spokojnej, oglądając się czy kto za kark nie chwytą.

Taką wypowiedziawszy uwagę, strażnik przechadzał się dalej, broniąc w ten sposób od snu, gdy u wejścia na basztę zabielało coś i ukazał się rycerz wspaniały. Strażnik oddał mu odpowiedni pokłon, bo w rycerskim zakonie pokorne formy zakonne jednoczyły się z żołnierskimi. Rycerz, dowódca zamku, odpowiedział poważnym skinieniem i z wolna postąpiwszy na ostatni kraniec baszty, stanął i wsparł się o mur w postawie pełnej zadumy. Na widok bielejącego z daleka płaszcza, drugi strażnik, strażujący w drugiej części twierdzy za mostem, zbliżył się jak tylko mógł na swojego stanowisku i rzekł, nie krzycząc, wyraźnym w ciszy pół-głosem, zwrócony do owego białego płaszcza:

— Rycerzu! czy słyszysz, co to za dziwne gwizdania odzywają się na wszystkie strony?

Rycerz milczał, a pytający, sądząc może, że go nie usłyszano, dodał:

— Już ja tu mówiłem, aby dano wam o tym znać, panie rycerzu, ale pan podkomendny nie chciał!...

— Bo pan podkomendny nie taki głupi, jak ty! — huknął

\*) Tam do pioruna!... klątwa pospolita niemiecka.

niecierpliwie rycerz, dodając sam do siebie ciszej a gniewnie: — Osieł! musiał się pod kominem wychować, skoro nie zna śpiewu słowików!

— Hm, hm... — myślał ofuknięty, odchodząc cicho od brzegu swej baszty — może ja głupi, może ja osieł, ale że za moich czasów, za starego komtura inaczej bywało, niż za tego komendanta młodzika, to więcej niż pewno; wtedy nie wolno było polnej myszy pisać, nie dopiero słowikom śpiewać!...

— Ten człowiek przerwał ciszę nocną i wystraszone słowiki ucichły! — myślał ze swej strony z żalem rycerz, nazwany „młodzikem”.

Stał on ciągle z czołem wspartem na ręce na wysokiej baszcie i księżyc, zjawiając się od czasu do czasu z za chmury, oświecał go jasno, okazując, że rycerz nie był „młodzikem” jak lekceważąco nazwał go w myśli stary strażnik. Rycerz nie był młodym, ale za to był poetą, co znaczyło tyle, jakby był młodym dwa razy. Rycerze owocześni bywali bardzo często poetami, a śpiew słowicy stawał się wówczas przedmiotem ich uwielbień.

Stał więc rycerz poeta zadumany na baszcie, i wyczekiwał śpiewu słowików, których w istocie dużo jest w nadniemieńskich okolicach. Jednakże, spłoszone zapewne odezwaniami się starego strażnika, umilkły one zupełnie na chwilę, a potem znów odywając się do tu, to tam, nie mogły jednak nie wiedzieć dla czego zebrać się na właściwe sobie wspaniałe pieśni. To też rycerz, oczekując długo na próżno, nareszcie uległ czarowi nocy i okolicy i mimowoli sam, jakby słowik, zaczął improwizować, oczywiście w swoim języku pieśń godną mnicha-poety:

O ty! wspaniałe wszech świata przestworze!...

Ziemio i wody, pustynie i morze!

Niebo i ty sam, księżycu ty biały,

Śpiewajcie ze mną dla Krzyża pieśń chwały!...

Z tego tonu rozpoczynając, poeta improwizował co raz głośniej i wspaniałej w uniesieniu i z żywą gestykulacją, czem zdziwieni dwaj strażnicy stanęli jak wryci, przypatrując mu się z daleka ze zdumieniem, bo nie mogli ani przez pół rozumieć górnej jego wymowy, gdy wtém... wszystkie okoliczne drzewa u stóp zamku, rozpadliny, stoki gór i zarośla, sam most nawet, wszystko ożyło, poruszyło się i zawrzało tłumem ciemnych postaci, skradających się tam oddawna i porozumiewających głosem słowików. Wybuch dzikiego wrzasku napęlił powietrze, a niezadługo potem, po krótkiej zacieklej walce, Litwini napełnili Wielonę tak nagle i gwałtownie, że prawdopodobnie musieli im przyjść w pomoc jakie otwarcie furtki, na skutek poprzedniego porozumienia z którymś podrzędnym knechtów — to jest sług krzyżackich. Zdarzały się takie rzeczy.

W godzinę później Gedymin, ten książę litewski, który był niegdyś koniuszym księcia Witenesa i którego posądzano o jego zabójstwo, stał nad okrytym ranami i konającym rycerzem-poetą krzyżackim. Gedymin był uniesiony świeżem zwycięstwem, improwizację rycerza słyszał i rozumiał, a Krzyżaków niecierpiał, przeto w zapale zwycięstwa ozwał się teraz wcale nie szlachetnie do zgnębnego nieprzyjaciela:

— Jakoś twoja „pieśń chwały dla krzyża” nie do chwały cię zaprowadziła?...

Rycerz, szczerą duszą, jakie znajdowały się przeciw czasami i w chytrym zakonie, otworzył ze zdziwienia oczy konające i rzekł:

— Jako? także to lekceważąco mówisz o krzyżu, Gedyminie?... a wszakże niedawno ty sam pisałeś do papieża Jana, prosząc o chrzest i mianując się już w duchu krzyża wyznawcą?

— Czemuż się dziwisz — odparł wzruszając ramionami Litwin — czyliż nie należysz do zakonu, który zazwyczaj inaczej pisze niż mówi, a działa jeszcze inaczej!...

— Ha, jeżeli tak! — zawołał w uniesieniu Krzyżak-poeta konający — jeżeli tak, jeżeli lekceważysz krzyż do tego stopnia, że używasz jego imienia do marnych celów ziemskich, to niechajże... bodajże...

— Cóż? klniesz mię? a to po chrześcijańsku!... — mknął Litwin, lękający się klątw zabobonnie.

— Tak! klnę cię po chrześcijańsku! — krzyknął rycerz — skoro lekceważysz krzyż, bodajże krzyż stał na twojej nogach!

Z ostatniem słowem tej chrześcijańskiej klątwy, rycerz poeta skończył. Gedymin w pierwszej chwili cofnął się i jakby ta klątwa była ciosem, ale zrozumiałwszy ją, wzruszył tylko lekceważąco ramionami i odszedł do spraw swoich. Najoczywieścię zaklął rycerz księcia, by został chrześcijaninem, boć krzyże tylko na chrześcijańskich stoją mogiła. Nie było tedy czego się lękać, tém bardziej, że Gedymin myślał chrześcijaninem zostać. W chwilę później, zabezpieczwszy się już w Wielonie, wstąpił książę z dwoma synami na basztę też samą, na której improwizował niedawno poeta i mówił:

— Kiejstucie! Olgierdzie! dobrze bardzo sprawiliście dzisiaj. Oto odebraliśmy przekłętymu Krzyżakowi, własną naszą, którą nam porwał przed sześciu laty. Nie mogłem spać ani jeść, dopóki nie spełniłem tego. Ale i teraz nie będę mógł spać ani jeść, dopóki nie wykurzę lisów krzyżackich z tej Wielony, w której mi siedzą pod bokiem, a jeżeli nie poskoczą na pomoc swoim w Wielonie, to tylko dla tego, żeśmy się do cicha a prędko sprawili. Czy widziacie tam o mały kawałek drogi stąd, błyskające światło nad niemnowym brzegiem? tam to oni siedzą, tam, ten sam Henryk bawarski, co porwał moją Wielonę, zbudował sobie zamek i nazwał go od swej miana Bajersburg!...

— Bajersburg! ach! to to tam jest Bajersburg!... — krzyknęli razem obaj młodzieniaszki, chciwie wpatrując się w światło migocące w ciemnościach.

— Tak! — mówił ściskając miecz w ręce Gedymin — tam jest mocny Bajersburg na mojej ziemi, za wielkim okopem potrójnym rzędem wałów ogromnych obwiedziony, a naprzeciw jest dobry most przez Niemen! Tak to wygodnie zagrzeździł się Niemcy na naszej ziemi. A siedzą tam mocno, na ją stu ludzi silnie zbrojnej załogi, przytém czterdziestu czników i czterdziestu braci zakonnych. Są tam silne oknie maszyny wojenne, są bombardy straszliwe, jakich wy widzieliście jeszcze w życiu. A wiecie wy, że cesarz, stryjko księcia Henryka, wydał teraz przed dwoma laty dyplom pruskiemu zakonowi na dziedzictwo całego naszego litewskiego państwa! a ten Bajersburg, który tam błyszczy, ma być stolicą tej Litwy, a ta Litwa, nasza Litwa, ma się zwać Litwą!

— A jemuż żądam cudzą ziemią rozporządzać! — krzyknął Kiejstut.

— A on jak śmie? i co ojciec mu na to powiedział? krzychał Olgierd zaperzony.

— Zkąd? to chyba on wie i piekło! — syczał Gedymin miecz ściskając w dłoni. — Co ja mu powiedziałem? nic! tu nie mówić potrzeba, lecz działać! ja mu powiem tam w Bajersburg!...

— Do Bajersburga! do Bajersburga tego idźmy! — wołał młodzi Litwini.

— Tak! pójdźmy tam! po to Wielonę zdobyć chciało koniecznie, aby z niej łatwiej mi było dopaść tej bawarskiej stolicy na mojej ziemi. Niech się tylko tu umocnię, a pójdę!

— Czyby nie lepiej natychmiast, zanim się tam w ty Bajersburgu domyślą i spostrzegą i przygotowują? — szeptał Olgierd żywo a cicho.

— E... owszem, niech wiedzą, jabym tam wolał zawczasem wrpóź przez herolda oznajmić, gdzie zamierzam iść w odwiedziny i dopiero przybywać na gotowe przyjęcie! — rzekł Kiejstut, dziwnie rozmiłowany w rycerskości i co do ducha i do form jej i przeto bacznie śledzący za zwyczajami rycerstwa i zachodu w ogóle.

— Wszystko to na jedno wyjdzie, moje dzieci, czy podziemy natychmiast i skrycie, czy teżbyśmy przez herolda oznajmili odwiedziny — odpowiedział z westchnieniem Gedymin — tam jest tak obwarowane i takie mają ogniste, daleko śmierć niosące maszyny, że gotowi tam są zawsze, a ja potrzebuję...

je umocnić się w Wielonie, aby na wypadek niepowodzenia jej znowu nie stracić.

To mówiąc, zstąpił z baszty Gedymin z synkami. W jakiś czas później, jak można było najkrótszy, Gedymin z silnym stemplem celniejszego ludu poszedł zdobywać Bajersburg ginął od ognistego pocisku z jednej z tych machin, o których opowiadał synom niedawno.

Wielka radość ogarnęła Krzyżaków, a rozpacz zdjęła lud ewski, który serdecznie kochał księcia swego. Obyczajem pogańskim, lud wyprawiał mu pogrzeb wspaniały, urządziwszy os olbrzymi, a gdy wśród ciężkiego płaczu spłonęły zwłoki bohatera pogańskiego, zebrano popioły troskliwie i pochowały je na ulubionej mu górze w Wielonie, wzniesiono na jej wysoki kurhan, czyli mogiłę, jak to tylko dla najznakomitszych wodzów czyniono. Po skończonych obrzędach dnia świętego, pierwszy kto spojrział ku kurhanowi na Gedyminowej górze, jak ją teraz zwano, krzyknął z podziwu. Na ten krzyk przybieżeli inni ludzie i wszyscy stawali obok pierwszego, patrząc ku owej górze i zapominali się ze zdumienia, że na mogile pogańskiego bohatera Litwy stał zatknięty żył . . . .

Kto go tam zatknął? nie wiadano; w jednej chwili rozosiła się wtedy pomiędzy ludem powieść o owej klątwie chrześcijańskiej konającego rycerza-poety i lud, który już zarażał się biedą na górę i zrzucić znak nienawistny, cofnął się raz, zdjęty zabobonnym strachem. Po niejakiem czasie jednakże wajdeloci sami, nie mogąc znieść krzyża na grobie pogańskiego bohatera, uroczyście poszli na górę i krzyż zrzucili, urządzili straż stosowną, aby go tam tajemna ręka nie porwała znowu. Ale nazajutrz straż o świcie ujrzała stojący na mogile krzyż i uciekła przerażona, upatrując w tém nie dżką sprawę. Dużo ludzi nie chciało się podjąć strażowania, inni zaś strażowali pilnie i czasem przez dni parę udawali się, ale po niejakiem czasie nie wiadomo jakim sposobem krzyż stawał znowu na mogile.

Dziwny strach ogarniał pogan i samych wajdelotów nawet, którzy podejrzewali (jak w istocie było) że chrześcijaństwo wdzierало się co raz bardziej w serce Litwy i że pomiędzy pogaństwem znajdowali się już skryci wyznawcy Chrystusa. Tymczasem po wielu bojach i strasznych walkach, roku 1348 W. mistrz krzyżacki Henryk Dusemer, obległszy Wielonę, zmusił ją do poddania, lecz i teraz nie na długo. Litwini debrali znów swoją Wielonę, aż po wielu takich losach kolech, za Witoldowych czasów dopiero, Wielona przestała kapać się w krwi wojowników.

Krzyż na kurhanie wzniesionym na Gedyminowej górze przez te wszystkie czasy po tysiąc razy zrzucany, stał przecież zawsze, aż przestano go zrzucać nareszcie. Stoi on spokojnie do dzisiaj, a ilekroć czas niszczyciel zaczyna go pochylać, zawsze i co prędzej podnosi go, lub stawia nowy, jakaś chrześcijańska ręka. Klątwa pobożna rycerza-poety trwa niespożyta, a niemnowe fale szumią o niej pod Gedyminową górą, acz historia o tém nie wie, a nawet pewną nie jest, czy popioły Gedyminowe złożono na Gedyminowej górze, lub w Wilnie; wiele jednakże okoliczności przemawia za Gedyminową górą.

## WYPRAWA PO ZŁOTE RUNO.

PRYZGODY WĘDROWCÓW W AMERYCE.

(Dalszy ciąg).

Przez ośm dni podróży przebywali kraj bezludny, choć żyzny, malowniczy i pełen zwierzyny i ptactwa. Często spotykano pyszne lasy cedrowe, na których widok Karol aż ustał z podziwienia, bo nigdy jeszcze nie widział drzew tak ogromnych. Wtém pewnego popołudnia przyszedłszy już nad sam brzeg prawie, ujrano rzekę Kolorado, z hukiem to-

czącą nurty spienione, w głębi urwiska pięciuset metrów głębokości.

Rzeka Kolorado dawniej przerzynała Meksyk, teraz zaś oddziela go od Stanów Zjednoczonych; wypływa ona z gór i przebiegłszy 1,500 kilometrów, wpada do zatoki Kalifornijskiej, zwanéj także zatoką Korteza. Niema chyba drugiej rzeki o wybrzeżach równie malowniczych. Cudne widoki stroją i wienią ją jej brzegi, skały olbrzymie, dziwaczne, o fantastycznych kształtach, przedstawiających niby skamieniałe miasta, świątynie, drzewa, posągi, ludzi i różne potwory. Klony, dęby, cedry przybierają tu rozmiary prawdziwie olbrzymie. Podróżnik przeciera oczy, patrząc na te dziwy przyrody, które mu się snem wydają. Antylopy licznemi stadami bująją po łąkach, zaglądając ciekawie w bezdenne przepaści, o ścianach z białych lub różowych marmurów i granitów i z jaspisu różnobarwnego. Komanczowie, pomimo że kochają swoje stepy, osłupieli przecież z podziwu w obec tych wspaniałych krajobrazów i rozkosznej roślinności. Karol twierdził stanowczo, że to jest raj i basta.

Nie łatwo było przebyć ogromną rzekę, poradził na to jednak przemyślny Paweł, budując z pomocą Karola obszerną tratwę. Trzy dni z trudem przepławiano się na prawy brzeg i zaraz spotkano tam kilku Indian z plemienia Yumasów, to jest synów rzeki. Małe plemię Yumasów żyje z łowiectwa i rybołówstwa, broń palna prawie nie znaną tam była jeszcze. Bronią tych dzikich były pierwotne siekiery kamienne, strzały i wędki kościane. Po długich dopytywaniach o drogę, ojciec Anzelm dowiedział się tylko od nich, że panami ziemi, którą miano przebywać, byli Indianie Mojawowie.

Po dwóch dniach podróży, pochwycono znowu dwóch jakichś Indian ustrojonych od stóp do głów w przepyszne tatuowania, z małym bardzo dodatkiem innej odzieży. Byli tak wystraszeni widokiem Komanczów, bardziej jeszcze niż białych ludzi, że ojciec Anzelm z największą trudnością zdołał im wytłómaczyć, czego od nich żądano. Nakoniec widząc, że im nic nie grozi, uspokoili się o tyle, że odzyskali przytomność i zaprowadzili podróżnych do swéj wioski, gdzie widok tak licznych wojowników wywołał nowy przestrah.

Ojciec Anzelm nic a nic nie poprawiony tém, co go niedawno spotkało, poszedł prosto do wodza Mojawów i oddawszy mu się jako zakładnik, uspokoił wszystkich i bezpieczeństwo zapewnił przybyszom. Misyonarz opowiedział wodzowi Mojawów, że wędrowcy chcieli tylko przejść przez jego kraj, aby dostać się w stronę morza. Indianin powiedział, że wszelkie ziemie, rozciągające się na zachód, należały do plemienia Mojawów i że morze (Ocean Spokojny) było o piętnaście dni drogi odległe.

Spoczywano przez dwa dni obok wioski, do której Komanczowie przyrzekli wcale nie wchodzić, aby sporów uniknąć. Gdy nadeszła chwila odjazdu, kobiety mojawskie, nie mogąc powściągnąć ciekawości, otoczyły obcych przybyszów, przypatrując im się ciekawie. Strój ich był staranniejszy nieco niż u mężczyzn, gdyż nosiły rodzaj spódniczek z kory pewnego krzewu, a dochodziły im te spódniczki aż blisko do kolan. Mimo tak pięknego ubrania, Karol nad miarę wy magaający, jeszcze nie był zadowolony, podpatrzywszy, że nie miały ani pończoch, ani staników, ani kołnierzyków, ani nawet rękawiczek! Ale za to przepyszne nie żartem perły ogromne, pięciu lub sześciu rzędami otaczały ich szyje, przesłanicznie odbijając od złocistej skóry tych pań. Bliskość morza, w którym poławiają się muszle perłowe, tłómaczyła nadzwyczajną obfitość takich naszyjników. Prócz tego dużo Indianek miało podbródek pięknie pomazany w niebieskie pążki, a to znaczyło, że panie tak przystrojone były mężatkami.

Udano się w drogę pod przewodnictwem dwóch młodych Mojawów, którym Otumpa dał po koniu i przyrzekł im je darować w nagrodę, jeśli szczęśliwie doprowadzą go do morza. W miesiąc później, przeszedłszy bez żadnego wypadku krainę ciągle obfitującą w żywność, podróżni dostali się do Wyższej Kalifornii i dotarłszy do jeziora Tularé, stanęli obozem nad tém małym morzem wewnętrznym. W koło roztaczała się wspaniała zwrotnikowa prawie roślinność; kaktusy, cytryny,

## Złoto i dyamenty.

palmy, klony i dęby, a ze świata zwierzęcego, dzikie kaczki, gęsi, czajki, indyki, jelenie, nawet i niedźwiedzie, równie jak żółwie, wszystko to otaczało tłumnie przybyszów, a w oddali wznosiły się w obłokach śnieżyste szczyty gór Sierra Nevada.

Ojciec Anzelm nie był nigdy w tym kraju, ale znał go z opisów misyonarskich. Wiedział więc i opowiedział towarzyszom, że Indianie Kalifornijscy, chociaż znajdują się między nimi nawet ludożercy, przecież są w ogóle dość łagodnej natury, ale za to mają pojęcie daleko tepsze niż mieszkańcy wybrzeży Atlantyku. Niektóre pokolenia budują chaty w kształcie cylindrów, zapewne naśladowując kształt pni drzewnych, gdzie w wypróchniałych dziuplach chronili się dawniej. Dopiero misjonarze nauczyli ich ogień rozniecać.

Miejscowość jednakże, w której zatrzymali się nasi podróżni, była już stosunkowo mniej dziką. Nie życząc sobie spotykać krajowców, gromadka jeźdźców ruszyła dalej, wzdłuż pasma Sierra Nevada, przebyła ogromne lasy, gdzie rosty drzewa potężniejsze jeszcze od drzew z okolic Kolorado. Drzewa te później miały się włączyć ogromem swoim. Nareszcie dostali się wędrowcy na wyżynę San Francisco. Było to wówczas małe miasteczko, liczące ledwo 1,500 mieszkańców, a które obecnie ma ich przeszło 100,000. Odległość tego miejsca od Zielonej Skały wynosiła przeszło 800 mil, ale licząc konieczne zboczenia i zakręty, droga ta wynosiła około 1,600 mil, co niezmiernie ucieszyło Karola, gdy usłyszał ten obrachunek, gdyż mógł już teraz uważać się za niepospolitego podróżnika. Nie posiadał się jeszcze bardziej z radości, gdy ojciec Anzelm powiedział, że nikt przed nimi nie przebył jeszcze lądu amerykańskiego w poprzek, pod tą samą co oni szerokością. Karol porównywał się do Kook'a i Bougainville'a i zawczasu cieszył się myślą, jak opowiadać będzie podróże swoje sąsiadom na przedmieściu św. Jakuba, którzy to wcale nie domyślają się nawet, iż na świecie znajdują się Navajosy, Mokisowie, Yumaasy, i t. p. ludy, które lubią oszczędnie się odziewać, jedynie tylko kolorowem malowidłem na ciele. Ojciec Anzelm zauważył, jak wiele zawdzięczano Nilce, która pomoc swego ojca wędrowcom zjednała. Karol nazwał to przypadkiem, a ojciec Anzelm Opatrznością Boską.

W trzy dni po wyjeździe z San Francisco, Minno, który tutaj był przewodnikiem, zatrzymał się nad brzegiem dużej rzeki, zsiadł z konia, wszedł w wodę, płynął prawie do środka, potem dał nurka. Ukazał się napowrót po chwili i z trudnością powrócił do brzegu. Roztworzył wtedy ręce, w których trzymał piasek z dna rzeki zebrany i okrzyk radości zabrzmiał ze wszystkich piersi: pomiędzy białym żwirem rzeczonym w rękach Minna, żółte bryłeczki złota uderzyły najmniej nawet wprawne oko. A więc nakoniec podróżni stali na wybrzeżu rzeki złotej, dziś zwanąj Sacramento. Pawłowi najpierw stanęła w myśli Zielona Skała i rodzeństwo, rzucił się w ramiona Minna, ściskając go ze łzami. Otumpa, jakkolwiek panujący nad wzruszeniami, obyczajem Indian, przecież nie ukrywał radości. Co do Karola, ten ucieszył się tak nadzwyczajnie, że nie wiedząc co zrobić z radości, zaczął nagle wywracać koziółki, jak szalony... co tak niesłychanie zdziwiło wojowników Komanczów, że roztworzywszy usta, osłupieli z podziwienia, zagapiwszy się na to nieznane im ćwiczenie gimnastyczne, zapominając nawet o złocie na chwilę...

Złote bryłki przyniesione przez Minna przechodziły z ręk do ręki; następnie każdy Komancz, kłękawszy na wybrzeżu począł zbierać piasek i przesiewać go przez palce starannie. Niezadługo każdy posiadał trochę złota, pokazując je sobie wzajem z krzykliwą radością. Odrobiny metalu były najczęściej wielkości średniego śrótu, gładkie, spłaszczone, lub nierówno zaokrąglone; niektóre większe, mniej starte przez drogę jaką odbywały, unoszone siłą potoków, były mocno chropowate.

Paweł rozgorączkowany przechadzał się po wybrzeżu. Rozmyślał nad tém, że złoto rzeczne musiało z konieczności przynoszone być do rzeki przez jej przypływy, rzeczki, potok i strumienie, spływające z gór Sierra Nevada. A więc w bliskości tych źródeł, obfitość drogiego kruszcza musiała być jeszcze większa. Młody inżynier wytłómaczył to Otumpie i wódz natychmiast rozkazał swoim ludziom wsiąść na konie i puścić się w dalszą drogę.

(d. c. n.)

## SZARADA (Malina z Siedlec).

Przymiotnik jest *pierwsze trzecie*,  
Drugie trzecie do podpory  
Grochu. *Wszystko* przedmiot znany w świecie,  
Używany do tej pory,  
Nie u nas, lecz w innym kraju  
Nie wychodzi ze zwyczaju.

## Łamigłówka liczbowa.

(Od Iskierki dla Ukrainki na Mazowszu).

W kwadraciku złożonym z 9 podziałek, umieścić liczby 2, 4, 6, 8, 10, 12, 14, 16, 18, w ten sposób, aby suma tych liczb w każdym rzędzie, tak w poziomym jak i w pionowym kierunku, równała się 30-tu.

## ROZWIĄZANIA DO N-ru 28 go.

## Niteczki Aryadny:

Gdy chcesz wiedzieć, co to chowa  
Nasza przeszłość w swoim łonie,  
Jako stara sława płonie,  
To jedź, bracie, do Krakowa.

Wincenty Pol.

## Łamigłówki zgłoskowej:

Domejko — Edmund — Osy — Tlen — Yaki — Morze — Anczyce  
Deotyma — Odyniec

TRĘŚĆ: Ptak garncarz (z drzew). — Dorcia powieść przez Maryą Świdorską (c. d.). — Letniczki, powietrzniczki (z drzew). — Gawędy podsłuchane u niemnowej fali przez M—a. — Wyprawa po złote runo, przygody wędrowców (c. d.). — Łamigłówki i rozwiązania. W Dodatku: Lew wiersz (z drzew). — Przez niedbalstwo (z drzew). — Kurek przez Jana. — Dziwne odkrycie. — Władek przez C. Falkowską. — Kanarek, z angielskiego (c. d.). — Łamigłówka, rozwiązanie. Dodatek książkowy: Mały książę powiastka historyczna przekład z angielskiego miss Yonge.



## PRZEZ NIEDBALSTWO.

Rwą się przywiązane u drzewa koniki  
Pewno do nich z lasu wilk wypadnie dziki,  
Ludzie zapomnieli, że wilk czycha skrycie,  
Przez niedbalstwo ludzkie konie tracą życie.

*Azet.*

## L E W.

Lew jest dzielny, niemściwy, szlachetny wspaniały,  
I przeto królem zwierząt ludy go nazwały.  
On nigdy na słabego chciwie się nie rzuci  
On zawsze godzi innych, a gdy się kto kłóci  
Jako król najwspanialszy wpośród zwierząt rzeszy  
Winnych karze przykładnie, słabszym w pomoc śpieszy.  
A panując oddawna w ogromnej pustyni  
Gdy go kto nie zaczepi, złego nie uczyni.

*Azet.*



Przez niedbalstwo.



Lew.

## KUREK.

W pewnym domu na podwórku był wielki czarny pies, Kurek zwany. W dzień zwykle wiązano go przy budzie na łańcuchu, a na noc, gdy zamknięto bramę, puszczano Kurka swobodnie. Nie dla tego jednak wiązano Kurka na dzień, żeby był złym i rzucał się na ludzi, bo łagodniejszego psa trudno znaleźć na świecie, lecz dla tego, żeby nie wyszedł za bramę i nie przestraszył kogo. Bo Kurek był taki duży, że zobaczywszy go można było się przelądz, chociaż on nigdy nikomu nic złego nie zrobił.

Gdy Kurka spuszczano z łańcucha, wtedy spokojnie obchodził całe podwórko, zaglądał do każdego kącika, jak gdyby chciał się przekonać, czy jaki zły człowiek nie zakradł się, aby potem szkodzić spokojnym mieszkańcom cichego domu. Obejrząwszy tak wszystkie kąty, siedł potem i kładł się przed drzwiami biednej wdowy, która dla zarobku nieraz do północy była na mieście, pozostawiając w domu dwoje małych dzieci, Pawełka i Anusię. Kurek dopóty nie odchodził ode drzwi, póki wdowa nie powróciła z roboty. Wtedy dopiero obszedł ją do koła, radował jej się i spokojnie odchodził, jak gdyby tem dał poznać, że on już niepotrzebny, kiedy matka do mieszkania wróciła.

Pawełek i Anusia bardzo lubili Kurka, zawsze mu zanosili resztki jedzenia, a jeżeli czasem dostali pierniczek, to i tem dzielili się ze swoim przyjacielem. Ale bo też naprawdę Kurka mogli nazywać przyjacielem.

Dzieci, gdy matka poszła do roboty, bawiły się zwykle przy budzie Kurka, a ten, jak wieczorem tak w dzień roz-

ciągał nad niemi opiekę, bo gdy tylko ktoś obcy zbliżył się, lub inne jakie dziecko odbierało zabawkę małej Anusi, Kurek zaraz warczał i wyszczerzał zęby. Gdy zaś Pawełek szedł po wodę, zostawiał Anusię przy budzie i był pewny, że jej się w towarzystwie Kurka nic złego nie stanie.

Lecz na tym podwórku, oprócz Pawełka i Anusi było jeszcze kilkoro innych dzieci, które również przychodziły przed budę i z Kurkiem były w przyjaźni. Gdy zaś z innego podwórka przyszły dzieci, wtedy pies przypatrywał im się uważnie, wachał z daleka, a widząc, że przybysze nie robią nic złego jego ulubieńcom, wchodził do budy i przymykając oczy spoglądał na ich zabawy. Razu jednego wpadł na podwórko chłopczyk bardzo porządnie ubrany i zaczął wołać:

— Słuchajno, ty obdartusie, oddaj mi moją piłkę, bo cię wybije!

Na podwórku nie było nikogo prócz Anusi i Pawełka, który co tylko właśnie powrócił ze dzbankiem wody z drugiego podwórka, a zostawiwszy ją w mieszkaniu, przyniósł małej siostrzyczce kawałek chleba, który im matka pozostawiła.

Pawełek usłyszawszy wołanie, odwrócił się i zobaczył Antosia, chłopca z drugiego podwórka, z którym czasami bawił się piłką, gdy poszedł po wodę.

— Czego ty mnie przezywasz obdartusem, co ja ci złego zrobiłem! — oburzył się Pawełek, który chociaż miał bardzo ubogie, lecz czyste ubranie.

— To oddaj mi piłkę! — krzyczał Antoś.

— Ależ ja ci piłki nie wziąłem, tylko ją sam wrzuciłem pomiędzy drzewo leżące na podwórku, a teraz chcesz, żebym ci ją oddał.

— Aha, prawda! — przypomniał sobie niegrzeczny chłopczyk i zbliżył się do siedzącego obok siostry przy budzie, Pawełka.

Lecz Kurek wyszedł poważnie z budy i pokazał Antosiowi zęby.

— Oho to wy tu macie takiego ładnego psa, ach gdybym ja miał takiego, tobym się dopięro z nim bawił!

I to mówiąc, odsunął nogą siedzącą i zakrywającą sobie oczy Anusię i chciał wsiąść na Kurka jak na konia. Lecz pies jeszcze bardziej wyszczerzył zęby i warknął jeszcze groźniej.

— He, cóż to ty będziesz mi pokazywał zęby! — zawołał rozgniewany Antoś. — Ja cię tu nauczę!

I to mówiąc, wyciągnął z kieszeni chustkę, włożył w nią mały kamyczek, a kręcąc z nią pytkę, zapytał:

— Czy on naprawdę nie kąsa?

— Nas nigdy nie ukąsił, ale my mu nigdy nic złego nie robimy — odpowiedział Pawełek.

— A cóż to ja mu chciałem zrobić? Chciałem się tylko z nim bawić, a on zaraz mi zęby pokazał! Ja cię tu nauczę! — odezwał się Antoś i podniósł pytkę, żeby psa uderzyć.

Zobaczywszy to mała Anusia zaczęła w głos płakać, wołając:

— Bije! bije! Kurka bije! — Co usłyszawszy Antoś tupnął nogą i zawołał:

— Cicho, ty mała bekso, usuń się! — I usunął ją nogą jeszcze dalej od budy.

Lecz pies usłyszawszy płacz Anusi, zaczął tak głośno szczekać i tak rwać się z łańcucha, że aż wszyscy mieszkańcy z całego domku wyjrzeli oknami, co się to tam takiego dzieje, że spokojny zwykle Kurek, tak głośno szczeka? Było nawet kilku, którzy wyszli aż przede drzwi, a zobaczywszy Antosia stojącego przed budą z pytką w ręku, wołać zaczęli:

— A cóż to za niegrzeczny chłopak, co tak psa drażni!

— A ja ci tu sprawię łaźnię, ty nicponiu — zawołał stróż, który właśnie schodził z drugiego piętra — a ty po co tutaj przychodzisz na nasze podwórko i takie hałasy wyprawiasz!

Zawstydzony Antoś począł uciekać, a pies schowawszy się do połowy w budę, szczekał i szczekał za uciekającym.

Antoś gdy był już w bramie i nie widział groźnego stróża, odwrócił się, a podniósłszy kamień, rzucił nim na szczekającego Kurka; obawiając się zaś, żeby go stróż nie dogonił i skóry mu nie obił za taki brzydki postępek, uciekł co miał siły. Nie trafił jednak w psa tylko wprost w nos Anusi, która zalała się krwią i jeszcze bardziej płakać zaczęła. Dobre sąsiadki obmyły płaczącą, dały kawałek bulki i śliczną żółtą marchewkę, dziewczynka się uspokoiła, a szczęściem, nie była bardzo skaleczona, lecz tylko guz siny pomiędzy oczyma jęj wyskoczył. Siedziała więc tak przy budzie, a poczciwe psisko często ją łapą skrobało, liżąc po buzi, jak gdyby i on chciał ją pocieszyć.

Minęło kilka tygodni, guz zeszedł z nosa Anusi, rodzice niegrzecznego Antosia wyprowadzili się na inną ulicę, a o całym wypadku wszyscy jakoś zapomnieli, a może nawet i sam Antoś zapomniał.

Jednego dnia w samo południe ojciec Antosia miał jakiś interes do właściciela tego domu, na podwórku którego Kurek był uwiązany, a idąc wziął syna z sobą. Zaledwie weszli w podwórze, Kurek zaczął szczekać i rwać się z łańcucha, tak, że go uspakajać musiano. Uspokojony poszedł na rozkaz do budy, lecz gdy ojciec Antosia wraz z gospodarzem przechodzili około budy, a za nimi szedł Antoś, pies wyskoczył, szczeknął i ugryzł go w nogę.

Antoś zaczął krzyczeć, ojciec był bardzo oburzony i robił wymówki gospodarzowi, że takiego złego psa trzyma w podwórzu, wszyscy się bardzo dziwili, że Kurek taki zwykle spokojny i z dziećmi oswojony rzucił się na chłopca. Aż dopiero przypomniał sobie, że to jest ten sam chłopiec, który tak się drażnił z Kurkiem kilka tygodni temu i który uderzył w nos małą Anusię.

Ojciec Antosia bardzo się zmartwił dowiedziawszy się, że jego syn tak sobie niegrzecznie postąpił, lecz zmartwił się także ujrzawszy skaleczoną nogę chłopca. Antoś bardzo długo chorował, wcale chodzić nie mógł, potem jakiś czas chodził o kuli. Teraz już wyzdrowiał, lecz podczas choroby zupełnie się poprawił, już nie drażni zwierząt, nie przezywa też biednie ubranych dzieci, obdartusami. Kurkowi jednak nie dowierza i omija podwórko na którym poczciwe psisko uwiązane, strzeże wiernie mieszkańców całego domu.

Jan.

## DZIWNE ODKRYCIE.

Natalka była córeczką jedynaczką niebogatych rodziców, ale mimo to żyła w dostatku, miała śliczne sukienki, dużo dobrych i ładnie oprawnych książek, i bardzo kosztowne otrzymywała wychowanie, wszystko to zaś było dla tego, że ojciec dniem i nocą pracował, i w biurze, i w domu, starając się, aby nielicznej jego rodzinie na niczém nie zbywało.

Mama i Natalka, idąc z ojcem przez ulicę, musiały się wystrzegać, aby przechodząc koło sklepów z wystawami nie pochwalić czego i nie okazać, że im się podobało, czy to materjał na suknię, czy kapelusik lub cacko jakie gustowne i zabawne, czy książka, bo jak tylko pochwały, zaraz ojciec to kupił dla nich. Natalkę wprawdzie niezmiernie to cieszyło, póki była małą, ale podrastając i przychodząc do rozumu, zrozumiwała, czemu mama niechce tego i za mamy przykładem sama starała się nie okazywać, gdy jęj się co podobało, aby ojciec wydając dużo pieniędzy, nie musiał też nad miarę na nie pracować, i przez to zdrowiu swemu nie szkodził.

Ale mało znaczyła ta troskliwość Natalki i jęj mamy, bo ojciec taką już miał słabość do obsypywania ich podarunkami, jak inni niektórzy panowie mają słabość do palenia tytoniu, albo do zażywania tabaki, albo do grania w karty. Ile Natalka miała ślicznych sukieneczek, tego ona samaby nie spaściła, gdyby szanując za przykładem mamy pracę ojca, nie utrzymywała wszystkiego w największym porządku, spisując regestr dokładny, numerowany. Lubił zaś ojciec szczególniejsze lekkie muślinki i batysty na sukieneczki dla swojej córki,

przybrane, wedle wymagań ówczesnej mody, mnóstwem falbanek. Że zaś rozumiał ojciec dokładnie, iż sukieneczka taka potrzebuje częstego i starannego prania i prasowania, aby była piękną zawsze i świeżą, przeto umyślnie do tego oddzielną umiejętną służącą trzymał, byle tylko Natalka dzień w dzień chodziła wystrojona, jak laleczka świeżo z pudełka wyjęta.

— Mój ojcie — mówiła nieraz Natalka — czy to ja sama nic warta nie jestem, tylko mój strój ma wartość, że tak ślicznie uśmiechasz się do mnie gdy mam świeżo ubrana, a za najmniejszym zaniedbaniem w ubraniu, kręcisz zaraz głową i krzywisz się?

— A twoje książki — odpowiedział ojciec, śmiejąc się — czy nic nie są warte, tylko ich okładki mają wartość, że tak lubisz, aby pięknie oprawne były, i tak starannie papierem obwijasz ich oprawę, aby zawsze ładną była?

Natalka na te słowa ojca zarumieniła się, zakryła twarz i uciekła, nie znajdując odpowiedzi, bo i ona też miała swoją słabość, a to do książek dobrej treści i w ładnej oprawie. Była to nawet słabość tak wielka, że jak Natalka pocichutku przyznała się mamie na uszko, daleko łatwiej szła jęj do głowy nauka z pięknej książki, niż z niedbale utrzymywanej. Oczywiście nikt nigdy nie mówił o tém ojcu, ale on i tak domyślił się tej tajemnicy i zasypywał Natalkę pięknymi książkami, tak samo jak stroił ją w piękne suknie.

Trzeba też przyznać, że dbając tak bardzo o marność światową, jak sam słusznie nazywał piękne suknie, nie mniéj, albo i jeszcze więcej dbał ojciec o ważniejsze rzeczy: Natalka miała kilka nauczycielek i nauczycieli, sumiennie i gorliwie pracujących nad jęj wykształceniem, a rozumiejąc doskonale, ile to ojca kosztuje trudów i niedospanych nocy, uczyła się serdecznie z całej duszy, ze wszystkich sił, aby jak największą korzyść ze starań ojca odnosić. Ojciec znowu, widząc to dobrze i chcąc, aby dziewczynka przy umysłowej pracy miała i rozrywkę, bardzo często jeździł z rodziną na różne przejażdżki, i do wód, i w teatrze bywał, i wszędzie gdzie tylko miłą rozrywkę Natalka i jęj mama znaleźć mogły. Rozumie się, że przy takim życiu musiało być w domu kilka służek i panna do zarządu, bo inaczej być nie mogło.

Tak to trwało długo, ojciec był zdrow i wesół, aż w tém nagle ni z tego ni z owego zachorował, i całe owo rozkoszne życie od razu jednego dnia skończyło się, jak nożem uciął. Wiadomo jak kosztowném nieszczęściem jest choroba, a przy tém trzeba chorego ochraniać od wszelkich zmartwień, które ciężko mu szkodzić mogą. Mama Natalki, gorliwie ratując ojca, zrazu nie pamiętała o niczém zresztą, ale gdy pierwsze niebezpieczeństwo minęło, i wszyscy widzieli, że zanosi się na długą chorobę, z której można wyzdrowieć przy wielkiém staraniu, natenczas mama urządziła się z życiem odpowiedniém do bardzo zmniejszonych dochodów, zupełnie inaczej, niż do tąd, bo chodziło o to, aby ojciec miał wielkie wygody, mimo braku jego pracy. W tajemnicy więc przed chorym odprawiła mama służących, zostawiając ledwo jedną najtańszą odnajęła drogę mieszkanie, oddzielając sobie tylko jeden pokójkoiczek przy pokoju chorego, i tak go pielęgnowała, sama sprząając i porządkując, aby braku służek nie dostrzegł a udając, że czyni to dla tego, aby cisza i spokój koło niego panowały. Poprosiła też większą potowę nauczycieli, aby podczas wstrzymali się z lekcyami.

O tém wszystkim nic a nic chory nie wiedział. Mama robiła to z namysłem i spokojnie, ale Natalka zdumiona była i przerażona, patrząc na tę odmianę rozkosznego życia na życie ciężkiej pracy i trudów, bo przecież widziała, że trzeba pomagać mamie, a przedewszystkiém prasować sobie te piękne śliczne strojne sukieneczki, aby ojciec nie domyślił się, że nie było komu tego robić, i aby go nie pozbawiać jego największej przyjemności, patrzenia na ładnie ubraną córeczkę. Gdy tedy Natalka zrozumiwała, na co się zanosi skutkiem rozporządzeń mamy, to nie powiedziała nic, ale aż ręce załamała w skrytości, tak się przerażyła, pomyślawszy, jakie to teraz będzie straszne i ciężkie życie.

Jednakże ani słówkiem nie zdradziła swych myśli, tylko

za przykładem mamy wzięła się ochoczo i gorliwie do ciężkich różnych prac, jakich dawniej nawet pokojowa nie spełniała, tylko dziewczyna dodana jej do posług. Natalce zdawało się, choć się z tem nie wydała, że mama omyliła się i przerachowała siły własne i swęj córki, i że obie nigdy rady trudom domowym nie dadzą. Jakże się zdumiała Natalka, gdy po kilku istotnie ciężkich dniach, następne zaczęły być lżejsze, a potem przy wprawie, przyzwyczajeniu, i szczególnie przy tej nadziei, że takimi ofiarami ocali się życie i zdrowie ojca, zaczęło się nawet żyć wcale wesoło, chociaż w pracy, trudzie i bez żadnych zabaw i rozrywek.

— Mamo! ja dziwne zrobiłam odkrycie! — zawołała raz Natalka radośnie.

— A to jakie, kochanie moje?

— Że można być szczęśliwym nawet w nieszczęściu!

— Źle się wyrażasz, dziecko, ty nie w nieszczęściu szczęście, lecz w pełnieniu powinności osłodę nieszczęścia znajdujesz! — powiedziała mama i uściskała córeczkę.

## W Ł A D E K.

Władek chodząc z mamą po Saskim ogrodzie, nie chciał, żeby go mama prowadziła za rączkę, a gdy usiadła na ławce, odbiegał od niej daleko, nie wierząc w to, że mógł zabłądzić. Jednego dnia w święto wyszedł z mamą pod wieczór do ogrodu i według zwyczaju, gdy mama usiadła, odbiegł aż do bramy głównej, gdzie był tłok wielki. Już chciał wracać, kiedy go porwała stara kobieta, a zarzuciwszy płachtę na głowę, wybiegła z ogrodu silnie zacisnąwszy chłopcu buzię, żeby nie krzyczał. Była to bardzo zła kobieta, której nie chciało się pracować, zabierała więc dzieci, zmuszając je, żeby prosiły przechodzących o jałmużnę. Wziąwszy Władka, biegła z nim na bardzo odległą ulicę nad Wisłę do swego mieszkania pod strychem.

Biedny Władek wywinięty z płachty zaczął krzyczeć, płakać, wołać mamy, ale kobieta uciszyła go, pokazując mu ogromną różgę, którą raz tylko spuściła, ale bardzo boleśnie. Zjęła zaraz z niego ubranie a włożyła łachmany brudne. Kiedy zmęczony chłopczyzna przestał płakać, rozejrzał się po brudnej izbie i spostrzegł dwoje dzieci siedzących na barłogu, które jadły chleb suchy, popijając wodą.

— Może i ty chcesz jeść, mały? — zapytała — spróbuj jak to chleb suchy smakuje! Ja stara, pracować nie mogę, a panowie miłosierni dadzą prędzej jałmużnę, gdy dzieci zobaczą. Oho! byłam ja nieraz u was, aleś ty mi nigdy kawałka chleba nie dał, chociaż sam zajadałeś ciasteczka.. Pochódź teraz paniczku ze mną, a potem cię odprowadzę!

Władek, chociaż był głodny, ale smutek nie pozwolił mu przełknąć chleba; płakał więc i wołał mamy, aż siedząc oparty o jakieś łachmany usnął nareszcie. Śniło mu się, że leżał w ładnym łóżeczku obok mamy, jak okropne było jego zbudzenie!

Żebraczka nie dała mu długo spoczywać, porwała na ręce owinęła w płachtę, tylko czasem oczki świeciły przez szparkę i wyszła z nim na ulicę, nie dawszy nawet kawałka chleba, żeby z głodu mocniej płakał.

Tymczasem biedna mama zalewała się łzami, szukając wszędzie synka; dała ogłoszenie do gazet, rozesała na wszystkie strony, żeby szukano Władzia, a chociaż całą noc nie spała, jednak wstała bardzo rano dla robienia nowych poszukiwań.

Przechodząc koło kościoła Świętokrzyskiego, weszła, żeby się pomodlić, wychodząc usłyszała: Mamo ratuj! Obejrzała się i ujrzała kobietę uciekającą. Na krzyk matki ktoś z przechodzących zatrzymał ową złą kobietę. Odebrano jej Władka i oddano matce. Odebrano też i dwoje innych dzieci, a że to były sieroty, matka Władzia wzięła je na wychowanie, żeby tem podziękować Bogu, iż jej synka powrócił. Kobieta zamknięto w domu poprawy, uczą ją tam pracować, nie będzie więc już wyciągać ręki po jałmużnę i chwytac zabłąkane dzieci.

Władek uszczęśliwiony, że został oswobodzony z tak wielkiego nieszczęścia, nigdy już nie odchodzi daleko od mamy, jest bardzo grzeczny, a co najwięcej, gdy zobaczy biednego chętnie mu daje grosik lub kawałek chleba, bo widział biedę i wie, że są tacy ludzie którzy nie mogąc zapracować muszą prosić o jałmużnę bogatszych.

*C. Falkowska.*

## KANAREK

Z ANGIELSKIEGO PRZEZ L. T.

(Dalszy ciąg).

### ROZDZIAŁ VII.

Natalcia zaczęła wreszcie przychodzić do siebie; pierwsze jej słowa odnosiły się do Pipa; prosiła koniecznie, żeby postawiono klatkę przy jej łóżku.

Ptaszek wkrótce się do niej przyzwyczail, a może brał ją za Edytę; zaczął ją całować przez pręciki, i pokazywał rozmaite sztuki, których go jego pani nauczyła. Natalcia z dniem każdym bardziej się do niego przywiązywała, a matka jej utrzymywała, że Pip najwięcej się przyczynił do jej wyzdrowienia.

Brownowa przeraziła się, gdy otworzywszy okiennice po raz pierwszy, spostrzegła jak mizernie dziewczynka wyglądała i jak chudym był kanarek. Potrzebował on zapewne siemienia i cukru. Natalcia również była teraz ciągle głodną, trzeba jej było dawać rosół i wino, postanowiła więc udać się nazajutrz do miasta.

Poszła do Kinga po jarzyny i owoce, oznajmiając mu, że nie będzie mogła zaraz zapłacić, gdyż choroba Natalci pochłonęła wszystkie jej oszczędności; ma jednak nadzieję, że dość zarobi, by się jeszcze wieczorem z długu uiszczyć.

King zgodził się na to, prosił jednak, żeby mu zapłaciła nie później jak nazajutrz, gdyż właśnie potrzebował pieniędzy.

Brownowa przyrzekła, naładowała wózek i poszła pożegnać się z Natalką.

Dziewczynka siedziała na łóżku, bawiąc się z Pipem, którego klatka stała koło niej.

Było jej już znacznie lepiej, wyglądała jednak bardzo mizernie.

— Jestem bardzo głodna, mateczko, a i kanarek także — rzekła słabym głosem, uśmiechając się do matki.

— Bardzo mnie to cieszy, kochanko; jest to znakiem żeś zdrowsza; pójdę teraz do miasta, może co sprzedam, to ci przyniosę mięsa na rosółek.

— A ptaszekowi siemienia, mamo.

— Ochrze, córeczko — odparła, całując Natalkę. — Jeżelibyś czego potrzebowała, to zawołaj pani King; obiecała zaglądać do ciebie podczas mojej nieobecności. Do widzenia, kochanko.

— Do widzenia, mamo — powiedziała Natalcia.

— Tiu-u, tiu-u! — zawołał Pip.

Brownowa wyszła. Po tylu dniach spędzonych w ciemnej i dusznej izdebce z przyjemnością oddychała orzeźwiającym, morskiem powietrzem. Wkrótce znalazła się na znanych ulicach; jak dawniej rozglądała się, czy jej kto nie zawoła, wykrzykując: Gruszki, jabłka, orzechy, sałata, muchotrzep dla skowronków!

Dzień był zimny i wilgotny, chmury okrywające niebo groziły deszczem. Na ulicach niewiele było osób, nikt się koło wózka nie zatrzymywał.

Godziny mijały jedna za drugą, a Brownowa nie jeszcze nie sprzedawała. Przed jednym z domów stała znajoma jej stróżka, trzymając w ręku pęczek marchwi, kupiony od kogoś innego!

— Sądziłam, żeście porzucili handel — rzekła; — nie widziałam was tak dawno; właśnie kupiłam marchwi i niczego już nie potrzebuje.

Matka Natalki odeszła ze ściśniętym sercem; nie tłómaczyła się chorobą dziecka, bo i nacóżby się to zdało!

Weszła znowu na bogatsze ulice; wieczor się zbliżał, a ona jeszcze grosza jednego nie zarobiła. Nie mogła wrócić do domu bez pieniędzy, a czuła, że nie ma po co w mieście do-  
stawać. Ze smutkiem spoglądała na śmiejące się dzieci, idące z niańkami na obiad, podczas, gdy jej biedna, głodna cór-  
eczka napróżno oczekuje pożywienia.

Dwoje dzieci, chłopczyk i dziewczynka, zatrzymało się koło wózka.

— Nianiu — rzekł chłopczyk — ja kupię muchotrzepiu dla mego skowronka.

— Nie masz przecież pieniędzy, Edziu — odparła — byłeś taki niegrzeczny przez cały tydzień, że w sobotę nic nie dostałeś.

Chłopczyk widać zapomniał o tém.

— Ach, mój Boże! — wstchnął — co za szkoda, że był niegrzeczny.

Brownowa myślała to samo. Byłaby tak szczęśliwą, gdyby Edzio był kupił od niej trochę muchotrzepiu. Najczęściej jednak tak bywa: gdy źle robimy, karzemy zarówno siebie, jak i innych. Gdyby Edzio był słuchał rodziców, byłby miał pieniądze, skowronek dostałby muchotrzepiu, a Natalia rosołu.

— Nie płacz, Edziu — powiedziała siostrzyczka — ja mam pieniądze i kupię ci muchotrzepiu.

— Ależ Anielciu — rzekła niańka — wydałaś wszystko na obrazki, które ci były zupełnie niepotrzebne, z pewnością nie masz już nic prawie. Mówiłam ci, żebyś ich nie kupowała, bo je zaraz rzucisz, ale nie chciałaś mnie słuchać.

Dziewczynka była bardzo zawstydzona i nie odzywała się nawet.

— Zdaje mi się, że masz jednego penny \*) — dodała niańka, bo widziałam, że kupiec wydał ci reszty.

Dziewczynka zaczęła szukać w kieszonce wyrzuciła ją nawet na drugą stronę, pieniędzy nie było ani śladu.

— Czém się bawiłaś na wybrzeżu? — zapytała niańka — widziałam, żeś rzucała coś w górę?

— Zdaje mi się, że to był penny — odparła dziewczynka, rumieniąc się — musiałam go zgubić.

— Spodziewam się, że będzie to dla ciebie nauką, by nie wyrzucać pieniędzy niepotrzebnie, gdy jest tylu biedaków, którymby można było przyjść z pomocą.

Dzieci spojrzwały na smutną twarz przekupki i uznały prawdę słów niańki.

Brownowa była bardzo zmartwiona i skłopotana. Było już szaro i deszcz zaczynał padać, z pewnością nic już nie sprzeda, a jednak jakże powróci bez rosołu dla Natalki, bez siemienia dla Pipa i bez pieniędzy na zapłacenie Kingowi?

Na myśl o biednym, chorém dziecku, lzy stanęły w oczach nieszczęśliwej matki i zakrywając twarz rękami, płakać zaczęła; lecz wydało jej się, że głos jakiś szepcze jej do ucha:

„Spojrzycie na ptaki powietrzne... wasz Ojciec niebieski żywi je, dla czegożby miał o was zapomnieć?”

Tak, Bóg nie zapomniał o Pipie, dla czegożby nie miał pamiętać o Natalci?

Pocieszona Brownowa podniosła głowę, obcierając oczy.

W tej chwili dobiegł ją odgłos dzwonka:

Dzyń - dzyń!

Dzyń - dzyń!!

Dzyń - dzyń!!!

Uderzona nagłą myślą, zaczęła nasłuchiwać.

Zginał!

Zginał!!

Zginał!!!

\*) Penny drobna moneta w Anglii, równa się blisko 5 groszom.

Uciekł z klatki  
Kanarek!!!

Brownowa drgnęła.

Kto go odniesie dostanie pięć szylingów nagrody!

Dzieci otaczające woźnego śmiały się i skakały jak zwykle, wkrótce jednak pośpieszyły za oddalającym się człowiekiem, a Brownowa pozostała sama na ulicy.

Wystawcie sobie co czuła; wystawcie sobie jej twarz zarumienioną, jej oczy błyszczące radośnie.

Pięć szylingów!

Dla niej pięć szylingów znaczyło teraz więcej, niż dla kogo innego sto szterlingów; za pięć szylingów mogła kupić wszystko czego potrzebowała: rosołu i wina dla Natalci, siemienia i cukru dla Pipa; mogła zapłacić Kingowi i jeszcze coś odłożyć na przyszłość.

— O Boże! dzięki Ci, dzięki! — zawołała wreszcie; — pamiętałeś o moich potrzebach i nie opuściłeś mnie!

Teraz musi spieszyć wracać do domu; nie może stracić ani chwili czasu. Za godzinę Pip będzie już w dawnym mieszkaniu, ona otrzyma pięć szylingów, a Natalia dziś jeszcze dostanie rosołu.

Śczęście przebijało się na jej twarzy, gdy szybkim krokiem przebiegała ulice Folkestone. Deszcz padał ulewny, nie czuła go jednak, chociaż nie miała parasola i była okryta tylko cienkim szalem.

Jedyném jej życzeniem było dostać się jak najprędzej do domu.

Spocona i zadyszana wbiegła do sieni.

## ROZDZIAŁ VIII.

— Natalia śpi — rzekła Kingowa, otwierając drzwi. — Jest bardzo osłabiona i głodna i potrzebuje pożywienia; wypila wszystkie mleko, któreście jej zostawili.

— O! teraz już jej niczego nie zabraknie — odparła Brownowa wesoło. — Jestem wam bardzo wdzięczna, żeście do niej zagląдали. Czy tęskniła do mnie?

— Pewno byłaby tęskniła gdyby nie ptaszek. Przez cały dzień bawiła się z nim. Koniecznie musiałam postawić klatkę na łóżku, i Natalia całowała się z nim przez pręciki, aż przyjemnie było patrzeć. Ona nazywa to całowaniem, ale mnie się zdaje, że to prędkiej dziobanie, bo mi aż zakręwił usta, całując mnie. Ale nie zatrzymuję już was dłużej, bo Natalia może czego potrzebować.

Brownowa weszła na schody powoli i ze spuszczoną głową. Słowa ogrodniczki przypomniały jej, o czém w pierwszej chwili zapomniała, że nowiny jakie przynosiła, nie będą zbyt wesołemi dla Natalci.

Lękała się zmartwienia dziewczynki przy rozstaniu z Pipem.

Otworzyła drzwi i weszła na palcach do pokoju. Natalia spała, a Pip skacząc po klatce świergotał jakby wzywając dziewczynkę do zabawy. Musiała słyszeć głos jego przez sen, bo uśmiechała się łagodnie. Brownowa stanęła przy łóżku a radość zniknęła powoli z jej twarzy. (d. c. n.)

## Łamigłówka w kwadraciku.

W kwadraciku z 9 podziałek ułożyć: 2 A — 3 K — 2 O — 2 T — aby odczytać w obu kierunkach: 1. Zwierzę domowe. 2. Rzeka na północy. 3. Wyraz potwierdzający.

## ROZWIĄZANIE DO N-ru 28-go.

Łamigłówki głoskowej:

Jaki pan, taki kram.